

# Informator Krajoznawczy

Nr 7/20 (lipiec) 2011



**Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze  
Oddział „Sudety Zachodnie” Jelenia Góra  
Komisja Krajoznawcza**

---

## Wprowadzenie



W lipcowym IK chciałem zachęcić wszystkich do wyruszania na wycieczki w Góry Izerskie. Są one tak ciekawe, że dziwnym wydaje się, iż za cel kolejnej wycieczki brane są dopiero w drugiej kolejności. Pora to zmienić, zwłaszcza teraz, gdy mamy ładną pogodę. Dlatego przedstawiam relację z wędrowki jaką odbyliśmy wspólnie z turystami niemieckimi. Trasa wiodła ze Świeradowa przez Izerę aż do osady Orle.

Nie była więc najkrótszą, jednak wszyscy dali radę. Następnym razem dotarliśmy do źródła Nysy Łużyckiej. Okazuje się bowiem, że swój początek ma ona właśnie u sąsiadów. Aby jednak nie zawęzić opisów do naszego obszaru podaję kolejne informacje dla osób zdobywających OKP. Oczywiście nie zabraknie relacji z lipcowego Spaceru Krajoznawczego jak i z bardzo deszczowej wycieczki Rajdu na Raty. Aby wprowadzić nieco zadumy przedstawiam istotę demoniczną, za jaką uważa się czarownicę i na koniec poruszam temat samotnych wędrówek po górach. Są one bezpieczne czy nie? Oceńcie to sami.

- Krzysztof Tęcza

## Wycieczka po Górach Izerskich

W sobotę 18 czerwca 2011 roku turyści z terenów przygranicznych wyruszyli, w ramach VI edycji Transgranicznych Spacerów Wiosennych, na wycieczkę przyrodniczą po Górach Izerskich. Co roku polsko-niemieckie wycieczki organizowane są przez Stowarzyszenie Południowo-Zachodnie Forum Samorządu Terytorialnego "Pogranicze" z Lubania, Regionalne Centrum Edukacji Ekologicznej - Oddział MiPBP z Lubania i Nadleśnictwo Świeradów, przy udziale partnera niemieckiego - Christlich-Soziales Bildungswerk Sachsen e. V. z Miltitz. Ponieważ zaplanowana trasa miała mieć 25 kilometrów długości zbiórkę wyznaczono na 7.30 przy moście Staromiejskim w Zgorzelcu. Tam też przyjechał autobus z opiekującą się nami panią Magdą Gułą. W drodze do Świeradowa zabraliśmy pozostałych wycieczkowiczów dosiadających się w Łagowie, Lubaniu i Olszynie. W siedzibie nadleśnictwa Świeradów mogliśmy zobaczyć jak przebudowano to miejsce. Wreszcie odkryliśmy gdzie podział się dzik siedzący sobie kiedyś na środku podjazdu. Chodziły bowiem słuchy, iż został wypłoszony. Teraz wiemy, że nie. Aby nie było problemów językowych dołączyła do nas pani Tamara Wadas, która przekazywała turystom niemieckim to co opowiadał pracownik Nadleśnictwa pan Zbyszek Kamiński, mający poprowadzić nas w góry. Pierwsze chwile były przyjemne. Skorzystaliśmy z kolei gondolowej, dzięki czemu zaoszczędziliśmy sporo czasu i sił. Chociaż tuż przed celem, gdy wiatr zakołysał wagonikiem, poczuliśmy jak wszystko podchodzi nam do gardeł. Jednak prawdziwy turysta nie zrazi się byle czym. Zwłaszcza, że panoramy jakie ujrzeliśmy są nie do opisania. Góry Izerskie są tak piękne, a zarówno tajemnicze i dzikie, że nie można ich pomylić z żadnym innym pasmem. Gdyby przywieziono nas tutaj z zasłoniętymi oczami to i tak byśmy zgadli gdzie jesteśmy. Sam bowiem zapach i to dziwne uczucie jakie tu czujemy, występuje tylko w tych górach. A trzeba wiedzieć iż miejsce to dotknęła kiedyś olbrzymia tragedia. Ze względu na zanieczyszczenie powietrza zaczęły usychać tutaj drzewa. Wtedy do akcji weszły szkodniki. I aby ratować całość trzeba było w bardzo krótkim czasie wyciąć obumarłe drzewa. Ściągnięto tu chyba wszystkich pilarzy i drwali jacy byli wówczas dostępni. Ale udało się. Co prawda gdy patrzyliśmy wtedy na to co pozostało z pięknego lasu chciało się płakać. Praktycznie do wysokości 800 metrów nad poziom morza las przestał istnieć. Jednak 30 lat usilnych zabiegów ze strony leśników i ogromnej pracy jaką tu włożono

przyniosło wspaniałe efekty. Dzisiaj młodzi ludzie patrząc na rosnące drzewa nawet nie pomyślą, że miała tu miejsce taka tragedia. Co prawda dziwnym może im się wydać, że wszystkie drzewa są w jednym wieku i podobnej wielkości. Ale to nic. Najważniejsze iż znów możemy cieszyć nasze oczy widokiem zieleni.

Pan Zbyszek opowiedział nam o żyjących tu cietrzewiach, które lubią właśnie młody, rzadki las porośnięty borówkami. Potrafią one przeżyć okres zimowy, mimo ponad metrowej warstwy śniegu. Kopiają sobie wtedy małe jamy i bez problemów przeczekują w nich do wiosny. Dowiedzieliśmy się także jakie są różnice między Leśnym Kompleksem Promocyjnym a Parkiem Narodowym. W pierwszym udostępnia się tereny zarówno dla turystyki jak i pozwala się na pozyskiwanie owoców lasu, czyli jagód, grzybów, ziół itp.. W drugim ruch turystyczny ogranicza się do wydzielonych tras i nie zezwala się na pozyskiwanie niczego co na nim rośnie. Wiemy, że wiele osób burzy się na takie obostrzenia ale pan Kamiński powiedział nam bardzo ważną prawdę: Przyrodę chroni się nie przed człowiekiem ale dla człowieka.



Wkrótce, mijając łącznik, dotarliśmy na Smrk i po pokonaniu ponad 80 stopni wdrapaliśmy się na zbudowaną tu w 2003 roku wieżę widokową. Wykonano ją ze stali, co wzrokowo sugerowało o jej stabilności i solidności. Jednak po wejściu na górę okazało się iż wiatry jakie tu wieją bez problemu kotłyszają wieżę. To niesamowite uczucie, gdy czuje się jak wieża "odjeżdża" w bok. Zwłaszcza gdy, tak jak dzisiaj, panowała lekka mgła. Ponoć z wieży tej są bardzo rozległe i ładne widoki. My musieliśmy uruchomić naszą wyobraźnię, tak by ujrzeć to co starał się pokazać nam prowadzący wycieczkę. Szczerze mówiąc, nie było to wcale takie trudne. Niektórym nie podoba się budowanie takich wież w górach. Twierdzą oni, że psuje to krajobraz. Jednak czy tak jest, nikt nie wie tego do końca. Na dole wieży przygotowano ogólnie dostępne przytulne pomieszczenie, w którym zmarznięci turyści mogą się ogrzać i posilić, a nawet przeczeekać złą pogodę, gdy zajdzie taka potrzeba. W

rozmowie jaka wywiązała się z prowadzącym nas Zbyszkiem Kamińskim stwierdził on iż leśnicy często bujają w obłokach. Wynika to z faktu, że tak jak w tej chwili, jesteśmy w chmurach. Nasuwa się jednak pytanie, na które słowo należy położyć większy nacisk: na bujają czy w obłokach?

Na rozdrożu, w pobliżu wieży, postawiono w 1903 roku drewniany krzyż z figurą Jezusa, a nieco później zamocowano na skale tablicę upamiętniającą fakt wejścia tutaj znanego niemieckiego poety Theodora Koernera w 1809 roku. Wykuto także stosowny napis na kamieniu poniżej. Dokonano tego dokładnie w stulecie wejścia.

Ponieważ cały czas szliśmy pod górę ucieszyło nas iż dalsza trasa wyraźnie biegnie w dół. Zwłaszcza, że prowadzący nas Zbyszek Kamiński zachowywał się jakby był na spacerku. Ani nie dyszał, ani się nie zgrzał. Nawet nie miał przyspieszonego oddechu. Natomiast niektórzy z nas i owszem. Jednak szybko zostaliśmy ukarani za takie nastawienie. Ścieżka stała się nie tylko stroma ale i ciężka do marszu. Trzeba było bardzo uważać by nie skręcić sobie nogi. Zaowocowało to sporym rozciągnięciem grupy, jednak obyło się bez niespodzianek. Wkrótce dotarliśmy do wygodnej drogi, przy której najpierw usłyszeliśmy, a później zobaczyliśmy mały strumyk. Okazał się on być rzeką Izera, tyle że w początkowej fazie. Akurat tutaj wypływała ona ze źródła położonego po stronie czeskiej. Drugie źródło znajduje się po naszej stronie. Wciąż toczą się niezrozumiałe spory czyja jest ta rzeka. Czesi twierdzą, że ich, my, że nasza. To znaczy, to są oficjalne spory. Jednak my turyści doskonale wiemy, że Izera jest nasza. Przecież od źródła usytuowanego po naszej stronie płynie ona prawie trzykrotnie dłuższą trasą niż ze źródła czeskiego. Zatem po co w ogóle mówić, że Izera ma dwa źródła? Czy nie lepiej przyjąć, że ta czeska strużka to po prostu zwyczajny dopływ płynącej już Izery. Wydaje się to być nie tylko logiczne ale i rozsądne. Prawda? A trzeba wiedzieć, że rzeka ta jest niezwykła. Zarówno wody jej jak i jej dopływów należą do zlewiska Morza Północnego. Natomiast druga główna rzeka Gór Izerskich czyli Kwisa kieruje swoje wody do Bałtyku. Mamy zatem tutaj granicę zlewni Morza Północnego i Bałtyckiego. Jest to niezwykle ale i pobudzające wyobrażenie.

Właściwie to można powiedzieć, że dopiero zaczęliśmy naszą wycieczkę. Dopiero teraz dotarliśmy do miejsca niezwykłego. Zaczynają się tu bowiem torfowiska. Oczywiście są one objęte ochroną przyrodniczą. Po stronie naszych sąsiadów utworzono kilka mniejszych rezerwatów a u nas jeden, za to olbrzymi, zajmujący kilkaset hektarów. Torfowiska tworzą się w miejscach, w których utrzymuje się duża wilgotność. Są to tereny nieprzepuszczalne, gdzie woda deszczowa znika tylko w sposób naturalny czyli odparowuje. Jednak jest ona utrzymywana bardzo długo. Dlatego występują tu rzadkie rośliny, których nie zobaczymy nigdzie indziej. Właśnie dotarliśmy do miejsca pokrytego drobnymi białymi roślinkami. To wełnianka. Wygląda przepięknie. Tak pięknie, że długo stoimy ciesząc się tym widokiem a zarazem słuchając ciekawej opowieści pana Zbyszka. Uświadomił on nam fakt iż podczas klęski ekologicznej najbardziej ucierpiał las. Wszyscy o tym wiemy. Ale dodał, o czym nie pamiętamy, że torfowiska wtedy nie ucierpiały. Pozostały bez zmian. I

właśnie w tym miejscu, gdzie staliśmy dowiedzieliśmy się, że chroni się tutaj nie tylko to co widzimy, ale także to co znajduje się pod ziemią i to co znajduje się nad naszymi głowami. Chroni się tutaj niebo. Pojawiło się bowiem nowe źródło zanieczyszczenia środowiska jakim jest zanieczyszczenie światłem. Niestety nadmiar światła jaki powstaje w dużych skupiskach miejskich odbija się niekorzystnie na całe środowisko. Zatem czy słusznie czynimy oświetlając nocą tysiące zabytków?

Podczas krótkiego odpoczynku byliśmy zaskoczeni jak duża ilość rowerzystów przewija się tędy. Z jednej strony dziwi to a z drugiej, patrząc na mnogość utworzonych tu szlaków rowerowych, ścieżek i dróg jest to normalne. Każdy zdrowo myślący turysta szuka wygodnego szlaku i z niego korzysta. Tak też jest i tutaj. Izery to prawdziwa kraina rowerzystów.

Jak już wspominałem cały czas widzimy ładny, równy las. Tymczasem dotarliśmy do miejsca przerażającego. Stoją tu obumarłe chojaki będące pozostałością po katastrofie sprzed trzydziestu lat. Bardzo to przygnębiający widok. Niestety nie można go zlikwidować gdyż teren ten chroniony jest jako rezerwat. I właśnie dlatego zachował się w takim stanie. Dotarliśmy do Czarnej jezirki. Dzięki temu, że ułożono tutaj drewnianą kładkę dla pieszych możemy wejść do rezerwatu i obejrzeć jego wnętrze. A chroniony tutaj ekosystem bagienny porośnięty lasem sosnowym jest dobrym miejscem by poddychać czystym powietrzem.

Teren zaczyna robić się coraz bardziej ciekawy. Pojawiają się jakieś skałki. Na tablicy widzimy napis Pytlacke kameny. Po naszymu są to Kłusownicze Kamienie. Nazwa pochodzi od kłusownika Heinricha, który zdezerterował i ukrył się właśnie w tym rejonie. Było to za czasów napoleońskich. Ponieważ był to człowiek, który zabiwszy zwierzynę zabierał tylko najsmaczniejsze jej części, został znienawidzony przez leśników. Nie ma się temu co dziwić. Nikt nie lubił ani wtedy ani dzisiaj niepotrzebnego zabijania. Zatem gdy idący lasem gajowy Schnaider Hansel oraz rewirowy Hub zobaczyli kłusownika przy potoku, Hub wypalił do niego ze swojej strzelby. Strzał był celny, kłusownik uciekł do lasu gdzie skonał. Po kilku dniach pochowano go tam gdzie upadł. Dzisiaj oprócz skał upamiętniających tamto wydarzenie można jeszcze zobaczyć drewniany Krzyż Heinricha ustawiony w pobliżu.

Prowadzący nas pan Zbyszek uprzedził iż na terenie tym występują żmije. Mają tutaj bardzo dogodne warunki do bytowania. Często wygrzewają się one na nagranych promieniami słonecznymi kamieniach. Co prawda przeciętny człowiek na słowo żmija reaguje nerwowo, czasami irracjonalnie, uważając ją za zagrożenie. A tak, prawdę powiedziawszy, wcale nie jest. Żmija unika kontaktów z człowiekiem. Gdy poczuje ona wibracje ziemi chowa się i tyle. Wystarczy zatem lekko potupać i już mamy czystą drogę. Dla leśników pokazanie się na jakimś terenie żmij oznacza tylko jedno. Jest to dowodem na przywrócenie równowagi w przyrodzie, bowiem to iż takie stworzenia żyją tu i mogą znaleźć pokarm jest bardzo cenne dla danego obszaru. Dlatego nie należy im przeszkadzać. Gdy zajdzie taka potrzeba przyroda sama sobie poradzi z tym problemem. Padło tu bardzo ważne zdanie: Żmija to sprzymierzeniec leśników i przyjaciel człowieka, nie jego wróg. Było by dobrze gdyby wszyscy o tym pamiętali.

Jak już wspomniałem teren stawał się coraz ciekawszy. Z za drzew wyłaniały się skały. Było ich coraz więcej. Aż ujrzelśmy te najpiękniejsze, jakby ułożone jedna na drugiej, tworzące mostek nad oknem. Oczywiście nie mogliśmy sobie darować i wdrapaliśmy się na samą górę. Chociaż, gdyby nie namalowane znaki pokazujące drogę, pewnie szybko byśmy utknęli na jakimś występie i czekali na pomoc. Wypatrzyliśmy sporych rozmiarów kociołek na jednej ze skał. Ale najważniejsze to widoki jakie rozpościerały się z góry. Coś niesamowitego. W końcu jesteśmy przyzwyczajeni do wspaniałych widoków w górach. Ale to co zobaczyliśmy tutaj przerosło nasze oczekiwania. Mało tego gdy dojrzelśmy Chatkę Górzystów od razu stanęły nam przed oczami naleśniki, a raczej naleśnik, jaki tam serwują. Jest on tak pyszny i tak wielki, że nawet jak dla dorosłego chłopca, jeden to aż nadto. Niestety tym razem musieliśmy obejść się tylko smakiem. Napawając się widokami zastanawialiśmy się czy spora nisza skalna jaką minęliśmy nie była przypadkiem tym miejscem, w którym chronił się wspomniany kłusownik.

Trzeba jednak było ruszać dalej. Przeszliśmy przez skalny tunel i jakbyśmy weszli w inną krainę. Nie chodzi oczywiście o krajobrazy, bo te są wszędzie takie same, chodzi o to, że gdy tylko wyszliśmy z tunelu uciął wiatr. Zrobiło się cichutko i przyjemnie. Na skałach tak nie było. Tam mało głów nam nie pourywało. Zrobiło się przyjemnie tym bardziej, że dalsza droga prowadziła cały czas w dół. A nasze nogi potrzebowały nieco odpoczynku. Szybko doszliśmy do Izerki. Po drodze minęliśmy Borkoviste, miejsce z którego wydobywano torf dla potrzeb pobliskiego uzdrowiska. Prace te prowadzono aż do lat 60-tych XX wieku. Dla zainteresowanych podam, że prowadzi tędy ścieżka edukacyjna o nazwie "Trzy izeryny". Nieco dalej weszliśmy do ostatniego już na naszej dzisiejszej trasie rezerwatu Vrchoviste. Torfowisko jakie tutaj ujrzelśmy wzrokowo wyglądało nieco inaczej niż poprzednie. Na dużym terenie widać wiele niby kałuż. Okazuje się iż jest ono prawie identyczne jak te skandynawskie oddalone od nas o 3 tysiące kilometrów. Miejsce, w którym znajdujemy się ma jeszcze inne tajemnice. Wygląda na to, że czas cofnął się tutaj o 10 tysięcy lat oraz, że mamy 500 metrów różnicy wysokości jeśli chodzi o występowanie roślinności. Zatem to co widzimy powinno występować o wiele wyżej. Tyle, że panujące tutaj warunki klimatyczne wywołują u roślin uczucie, jakby było to dla nich właściwe miejsce. Takie małe przekłamanie. Widzimy tutaj przede wszystkim mchy torfowe. Ale naszą uwagę przykuwają całe połacie czerwonych roślinek. Jak się okazało są to rosiczki okrągłolistne, a więc "drapieźniki" żywiące się owadami. Oczywiście tutaj nie mają one zbyt dużych rozmiarów.

Idąc dalej przyglądamy się ciekawym zmarszczkom tworzonym przez nurt na Izerze. Są one tak niesamowite, że nie możemy oprzeć się by nie zrobić tutaj sesji fotograficznej. Do tego jeszcze ten lekko brunatny kolor wody. Ale na torfowiskach wody we wszystkich potokach mają taki właśnie odcień.

Nie muszę nikomu mówić jak się ucieszyliśmy gdy ujrzelśmy tabliczkę z napisem Chata Pesakovna. Jest to typowy budynek na tych terenach, tyle że akurat w tym znajduje się pierwsze miejsce na naszej trasie, w którym można coś zjeść. A chyba byliśmy już głodni. No może bardziej spragnieni. Zatem szybko poskładaliśmy

zamówienia i kosztując ciemne piwo Kozel czekaliśmy na podanie posiłku. Wkrótce okazało się, że także przy podejmowaniu, wydawało by się tak błahej decyzji jak wybór posiłku, trzeba być przewidującym. Bo ci, którzy zamówili dania wymyślne, czyli np. frytki, długo czekali na zaspokojenie głodu. My po sprawdzeniu dania dnia, wybraliśmy gulasz z jelenia z knedlikami i okazało się to właściwym wyborem. Otrzymaliśmy swój posiłek prawie od ręki. Zatem zaspokoiwszy głód mogliśmy resztę pozostałego nam czasu przeznaczyć na oglądanie "rupieci" tu zgromadzonych. A było co oglądać. Wiszą tu setki różnych dzwoneczków. Ba nawet wypróbowaliśmy jeden zestaw dzwoneczkowy wiszący przy drzwiach. Jakież było nasze zdziwienie, gdy na sygnał dzwoneczków przybiegł gospodarz. Okazało się iż właśnie te dzwoneczki to umówiony dla niego sygnał, że coś się dzieje. Wybaczone nam ten pochopny czyn. Obejrzeliliśmy zatem wiszące tu portrety i obrazy, stojącą przy wejściu maszynę do szycia marki Singer. Była ona inna od tych jakie widzieliśmy do tej pory, miała bowiem piętrowe szufladki. Obok stał wózek inwalidzki ale przeznaczony on był dla turystów "specjalnej troski". Wyposażono go w kask, kroplówkę do której można było podłączyć butelkę Stocka, oraz zestaw niezbędnych kieliszków. Na maszynie ustawiono stare odbiorniki radiowe. Na ścianach powieszono różne instrumenty muzyczne ale także tary, a właściwie mini tary, siekierę ciesielską, czy wreszcie niezwykły dzwon.

Właściwie po takim odpoczynku grzechem byłoby dalsze wędrowanie, udaliśmy się zatem poprzez miejscowość Izerka w stronę osady Orle. Domy w Izerce są w zasadzie podobne jeden do drugiego. Różnią się tylko wielkością. Minęliśmy budynek dawnej szkoły, w którym znajduje się muzeum Gór Izerskich. Niestety było już nieczynne. Gdy schodziliśmy kamienistą stromą ścieżką do mostu granicznego zaskoczył nas umieszczony na jej początku znak informacyjny, na którym umieszczono taki oto napis: "Cyklisto, sesedni z kola". Muszę jeszcze powiedzieć bo zapomniałbym. Prowadzący nas pan Zbyszek wprowadził nas w zakłopotanie jak i w zdumienie. Zerwał roślinkę z kępy przy drodze i zadał, zdawałoby się proste pytanie: czy ktoś wie jak ta roślina się nazywa. Proste, prawda! Tylko leśnik może wpaść na taki pomysł. A niby skąd my to mamy wiedzieć. Dla nas wszystkie "chwasty" rosnące przy drodze są jednakie. Szybko okazało się, że miał on ukryty cel w tym pytaniu. Roślina, którą nam pokazał okazała się być wszewłogą górską. Używa się jej jako składnika podczas produkcji żołądkowej gorzkiej. Ale nas zaskoczył! Ponieważ informacja ta zaciekała wszystkim pozwoliłem sobie trochę poczytać po powrocie do domu i dowiedziałem się iż faktycznie używa się tej rośliny we wspomnianym celu. Jednak tylko ekstraktu z jej korzenia, gdyż tylko korzeń jest surowcem zielarskim. Poza tym nie zaleca się samodzielnego jej zbierania, gdyż łatwo można ją pomylić z trującymi gatunkami roślin baldaszkowatych. Chociaż trzeba przyznać, że jej zapach po roztarciu jest zupełnie wyjątkowy.

Zanim przejdziemy drewnianym mostem z powrotem do naszego kraju muszę podzielić się ciekawą sprawą. Otóż Izerka jest najwyższą położoną osadą na terenie Czech. Dawniej funkcjonowały tutaj huty szkła, a dzisiaj jest ona uznanym rezerwatem architektury wiejskiej.

No wreszcie jesteśmy po polskiej stronie. Przywitał nas Nepomucen wyrzeźbiony w drewnie i ustawiony koło mostu. Teraz pozostało nam tylko mała wspinaczka pod górkę i już po chwili wyszliśmy na polane gdzie ujrzelśmy schronisko Orle. Nigdy nie myślałem, że taki widok może tak bardzo ucieszyć wędrowców. Nas ucieszył. Jednak prowadzący wycieczkę był innego zdania, bo zamiast do schroniska zaprowadził nas do jakiegoś nowo postawionego kamiennego słupa. Okazało się to być przedstawieniem Słońca. Jest to część utworzonej tutaj ścieżki dydaktycznej "Model układu słonecznego". Na 4,5 kilometrowej trasie prowadzącej z Orlego do Chatki Górzystów możemy poznać pozostałe obiekty naszego układu słonecznego. Wykonano je w skali jeden do miliarda, co zobrazowano na ustawionych kamieniach. Każde z przedstawień zostało ufundowane przez inną osobę lub firmę. I tak fundatorem przedstawienia Słońca jest stacja Orle, Ziemi - Lasy Państwowe, Uranu - kopalnie uranu itd.

Wszystko to jest niezwykle ciekawe ale my, szczerze mówiąc, mieliśmy na dzisiaj już dosyć wrażeń i mimo iż Góry Izerskie są tak ciekawe i pociągające, że prawie nie sposób oprzeć się pokusie wyjścia w nie, zdecydowanym krokiem ruszyliśmy do czekającego na nas autobusu by powrócić do naszych domów.

## Lipcowy spacer krajoznawczy

W sobotę 2 lipca 2011 roku osoby pragnące poznać coś nowego wyruszyły z prowadzącym wycieczkę, Krzysztofem Tęczą, na kolejną trasę. Tym razem, ze względu na zmiany komunikacyjne dotarliśmy do wodospadu Szklarka, gdzie wyjątkowo nie było tłoku. Mogliśmy zatem rozkoszować się pięknem tego miejsca. Gdy ruszyliśmy w dalszą drogę spotkaliśmy idącego do pracy fotografa, który od niepamiętnych czasów robi pamiątkowe zdjęcia przybywającym tu turystom. Pogoda była w sam raz, ani nie przygrzewało słońce, ani nie padał deszcz. Idąc leśną ścieżką wzdłuż górskiej rzeczki chłoniliśmy zapach rosnących tu drzew. Podziwialiśmy skały tworzące niesamowite kształty. W pewnym momencie poczuliśmy nawet zapach grzybów, co nas lekko zaskoczyło. Gdy dyskutowaliśmy czy to nie za wcześnie, wypatrzeliśmy piękny, zdrowy okaz. Za chwile następnym. I tak oto, zupełnie przypadkowo, mieliśmy pierwsze w tym roku grzybobranie. Zadowoleni z takiej niespodzianki, obejrzelśmy kamień krzyżowy, ustawiony po powodzi w miejscu, gdzie woda nie powinna mu nic zrobić. A gdy spokojnie dotarliśmy do Piechowic zaraz pojechał autobus i zabrał nas do Jeleniej Góry. Tyle tylko, że kierowca sprawił nam kolejną niespodziankę. Okazało się iż pojechał on przez Michałowice. Mogliśmy zatem przejechać przez tunel w skale, którym prowadzi szosa i zobaczyć jak zmieniła się zabudowa Jagniątkowa.

## Deszczowa wycieczka



W niedzielę 3 lipca 2011 roku zaplanowaliśmy kolejną wycieczkę Rajdu na Raty. Prowadzący Krzysztof Tęcza, widząc co się dzieje, a właściwie niewiele widząc za strugami spadającej z nieba wody, nawet nie wziął z samochodu plecaka z ekwipunkiem. Był bowiem przekonany, że poczeka do odjazdu pociągu i wróci do domu. Jakież było jego zdziwienie gdy pojawił się pierwszy uczestnik. Za nim drugi, trzeci i po chwili było już dziesięć osób, niebojących się takich warunków pogodowych. Normalny człowiek pewnie popukał by się w głowę gdyby ktoś mu zaproponował wycieczkę w takich warunkach. A tymczasem ci wytrawni turyści postanowili ruszyć na trasę. Podjechaliśmy sobie zatem pociągiem do Trzcina, a stamtąd ruszyliśmy pieszo w stronę Radomierza. Zanim jednak tam dotarliśmy zboczyliśmy nieco ze szlaku by obejrzeć kamienną tablicę, upamiętniającą tragiczne zejście młodzieńca, który został zamordowany u progu swojego życia. Mimo iż zdarzenie to miało miejsce prawie dwieście lat temu można zawsze zobaczyć tu świeże kwiaty i palące się znicze.



Do kościoła Matki Boskiej Różańcowej w Radomierzu dotarliśmy akurat na koniec mszy i zostaliśmy oprowadzeni przez księdza. Opowiedział nam on historię zarówno tej jak i sąsiedniej świątyni. Pokazał oryginalne elementy jakie zachowały się do dnia dzisiejszego. Mogliśmy porównać obecny wygląd domu bożego z jego wyglądem przedstawionym na starych zdjęciach. Faktycznie były spore różnice.

Ponieważ przed nami było jeszcze sporo do przejścia ruszyliśmy drogą w stronę Komarna. Deszcz padał cały czas. Nie przeszkadzało nam to jednak. Przywykliśmy już do wody. Nawet nie omijaliśmy wielkich kałuż. Przy kościele św. Jana Chrzciciela obejrzeliśmy dwa krzyże pokutne i wysłuchaliśmy związanych z nimi opowieści. Stąd już tylko kilka kilometrów dzieliło nas od kościoła św. Piotra i Pawła w Maciejowej, który był ostatnim celem podczas naszej wycieczki. Od tej pory mieliśmy same sukcesy. Na machnięcie ręką zatrzymał się przejeżdżający bus i zabrał

nas do Jeleniej Góry. Teraz pozostało już tylko dotrzeć do domów by przebrać się w coś suchego. Najważniejsze jednak to to, że nikt podczas całej trasy nie wypowiedział ani jednego słowa krytycznego. Nikt nie narzekał na deszcz. Wszyscy byli zadowoleni. Ba nawet sobie pożartowaliśmy. Jednym słowem - bardzo udana wycieczka.

## OKP stopień srebrny: powrót z nad morza

Kilka dni po zwiedzaniu Wrocławia postanowiłem wybrać się z żoną nad Bałtyk by trochę odpocząć. Ponieważ czas nas nie naglił zajrzeliśmy do miejscowości Glinna koło Starego Czarnowa gdzie pospacerowaliśmy sobie po pięknym ogrodzie dendrologicznym. Ogrodzony teren był otwarty a obsługa, jak się okazało, musiała gdzieś wyjechać. Spacerowaliśmy zatem czytając wystawione tu tablice informacyjne. Oprócz ciekawych okazów roślin zobaczyliśmy tam wiele zaskrońców. Byliśmy świadkami jak jeden z nich, taki wypasiony, w locie chwycił skaczącą żabę i skonsurował ją. Coś niesamowitego. W budynku przy drodze, za ogrodem, zagadnąłem mieszkających tam ludzi i jak się okazało trafiłem na samego softysa. Mam więc pieczątkę od niego.

Wkrótce dojechaliśmy do Kamienia Pomorskiego gdzie zwiedziliśmy, nie po raz pierwszy, katedrę św. Jana Chrzciciela. Wejście do świątyni jest bezpłatne, ale jeśli chce się zwiedzić wirydarz czy skarbiec trzeba już wykupić bilety, co prawda symboliczne. Jest tam też ładna pieczątką. Po noclegu pojechaliśmy do miejscowości Żydowo koło Polanowa gdzie obejrzelśmy elektrownie szczytowo-pompową. Trzeba tutaj zostawić samochód na poboczu i pójść pieszo wzdłuż kanału aż do miejsca, w którym woda wpływa do potężnych rur prowadzących ją na dół, w stronę widocznej elektrowni, usytuowanej na dolnym jeziorze. Widok stąd jest niesamowity. Każdy musi sam go ujrzeć. Nie da się bowiem tego opisać w kilku słowach. Ponieważ ja jeżdżąc po świecie, pół życia budowałem elektrownie, specjalnie nie ekscytowałem się takim obiektem. Jednak dla żony było to coś nowego. Dlatego wróciliśmy do samochodu i zjechaliśmy na dół, gdzie poprosiłem dyżurnego, aby pozwolił nam porozglądać się nieco. Nie było z tym żadnych problemów i mogliśmy zobaczyć całą maszynownię. Było głośno. Bardzo głośno. Jak to w tego typu obiektach.

W pobliżu miał być zamek rycerski. A ściślej mówiąc w miejscowości Krąg. Z dotarciem do niego jest dziwnie. Najpierw mamy drogowskazy a gdy dojeżdżamy, znikają one. I gdyby nie to że jest to jedyny tutaj zamek zastanawialibyśmy się czy dobrze trafiliśmy. Zabrakło bowiem końcowej tabliczki kierującej nas do niego. Ponieważ urządzono w nim hotel, przygotowano ładne bezpłatne parkingi. Ale na moje grzeczne pytanie skierowane do pani w recepcji : Czy to jest zamek w Krągu? usłyszałem: To jest hotel „Podewils”. Jakby pani nie była pewna czy to w ogóle jest zamek. Zadałem więc kolejne pytanie. Co jest tutaj takiego ciekawego co poleciała by mi pani obejrzeć? Na takie głupie pytanie otrzymałem nie mniej mądrą odpowiedź. Hm.. Może pan tu obejrzeć... hm... restaurację i bar. Ekstra! Ponieważ to co

zobaczyliśmy wewnątrz nie było żadną rewelacją przeszliśmy się wokół zamku i jeziora. Sam obiekt jest zadbane, duży, można tutaj zjeść i przenocować ale sposób jego prezentacji pozostawia wiele do życzenia. To co nas tu spotkało zniechęciło nas tak skutecznie, że zaplanowany właśnie tutaj obiad postanowiliśmy skosztować w Darłowie. Tam też zwiedziliśmy muzeum mieszczące się w Zamku Książąt Pomorskich. Nie ma tutaj problemu z zaparkowaniem w pobliżu warowni, a po wykupieniu biletu można sobie zwiedzać poszczególne komnaty, bo można nawet wejść na wieżę po 102 schodach.

Po kilkudniowym leniuchowaniu wybraliśmy się w drogę powrotną i dotarliśmy na zamek w Świdwinie. Tutaj przy zakupie biletów wyszło, że akurat jesteśmy jedynymi zwiedzającymi i pani Alicja oprowadziła nas po obiekcie bez zbędnego pośpiechu. Okazała się ona być osobą kompetentną. Jej wiedza mimo, że była tutaj tylko na stażu, była bardzo duża. Dzięki niej szybko zwiedziliśmy całość, weszliśmy po ponad stu schodach na wieżę, a na koniec zobaczyliśmy odcisk psiej łapy w cegle na zewnętrznej ścianie budowli. Jest to związane z ciekawą legendą, którą oczywiście nam opowiedziała. Ale najstojniejszą legendą jest ta o krowie. A właściwie o bitwie o krowę. Ba okazuje się iż wykorzystano dawne przekazy i od wielu lat odtworza się tu corocznie bitwę. A kto w danym roku wygra, przechowuje u siebie przez rok trofeum w postaci krowich rogów. Ponieważ spodobał nam się pani Alicji, pokazała nam jeszcze rarytas. Otóż w 1980 roku od godz. 17 min 10 dnia 25 sierpnia do godz. 0 min.37 dnia 27 sierpnia, na ścianach korytarza, malował swoje przedstawienia Franciszek Starowieyski. Jest tutaj jego podpis. To jest dopiero coś. Mało kto może się pochwalić posiadaniem takich dzieł.

Ostatnią miejscowością, do której trafiliśmy podczas tego wyjazdu był Dobiegniew. Co prawda musieliśmy zapytać się miejscowych o szukany obiekt ale trafiliśmy wtedy już bezbłędnie na miejsce. Postawiliśmy samochód na przygotowanych placach przed budynkiem Muzeum Woldenberczyków - Oflag IIC Woldenberg. W poprzednim dniu była tutaj jakaś duża uroczystość. Ale dzisiaj nie było już tłoku. Mieliśmy niesamowite szczęście bowiem z reguły ciężko zwiedza się takie miejsca. Wywołują one u nas smutek i chcemy jak najszybciej je opuścić. A tu przyjechał właśnie starszy pan, który okazał się być legendą tego obozu. Był jednym z pierwszych uciekinierów. I okazał się być niezwykle uczynnym i życzliwym człowiekiem. Zaraz zaczął opowiadać jak się tu żyło podczas wojny. Opowiedział tak wiele ciekawych rzeczy, że czas zleciał szybko. Okazało się iż nie tylko my ale i inni tu przebywający byli zachwyceni. Ale oprowadzający nas starszy pan sam czerpał radość z tego, że mógł przekazać swoje wspomnienia innym i że słuchający go ludzie byli tym zainteresowani. Żona oczywiście wypatrzyła na starych fotografiach twarz Kazimierza Rudzkiego, który podczas przetrzymywania go tutaj występował w obozowym teatrze.

Po kilku dniach odwiedziłem zamek Kliczków, w którym bywałem już wielokrotnie na przestrzeni ostatnich trzydziestu lat. Muszę stwierdzić, że zmienił się on bardzo. Przede wszystkim obecnie jest to hotel o dosyć dobrym standardzie. Przygotowano tu wiele darmowych miejsc parkingowych, a po wykupieniu biletu i ze-

braniu odpowiednio dużej grupy możemy liczyć na oprowadzenie nas przez przewodnika. Oczywiście na koniec zwiedzania zaprasza on lub ona do restauracji czy winiarni. Warto jednak pospacerować po rozpościerającym się wokół zamku parku, w którym natkniemy się na nagrobki pochowanych tu koni. Tak więc końcówkę sierpnia i początek września 2009 roku, muszę przyznać, spędziłem bardzo pracowicie. Teraz muszę przygotować się i nabrać sił na wyjazd do Torunia.

## Czarownica - nieszczęsna istota

Czarownica, zwana początkowo jędzą, babą-jagą, wiedźmą, znachorką, uważana była za tą, która posiadała kontakty z siłami nieczystymi lub za współniczkę szatana. Początkowo była to stara, brzydka i odrażająca kobieta, złośliwa i okrutna, szkodząca ludziom za pomocą czarów, ale tak było do początku XVII wieku. Byli wówczas nawet tacy, co twierdzili, że czarownice to po prostu sprytnie oszustki wykorzystujące naiwność ludzi.

Pod koniec XVII i na początku XVIII wieku, gdy coraz częściej zaczęły płonąć stosy z czarownicami, zmienia się wyobrażenie o tych kobietach. Ludzie, choć czasem nie wierzą w nie, to jednak zaczynają panicznie bać się ich. Dlatego też bardzo łatwo czynią czarownicami wszystkie te kobiety, które żyją jakby w pewnej izolacji od reszty społeczeństwa, głównie wiejskiego. A były to niejednokrotnie osoby po prostu upośledzone fizycznie czy nie zrównoważone psychicznie. Były one zawsze nielubiane z powodu swojego skąpstwa, złośliwości, nietolerowania innych. Ale były to często różnego rodzaju znachorki czy też gospodynie, które osiągały lepsze wyniki w gospodarstwie niż sąsiedzi. Pomawiało się wówczas taka o rzucanie uroku np. na krowy sąsiadów, aby te dawały mniej mleka i nieszczęsna kobieta często trafiała na stos. W okresie tym dzielono już ród czarownic na takie, które są nimi: z przyuczenia, z własnej chęci lub z pokuszenia. Przyuczenie była to pewnego rodzaju nauka, połączona ze stażem u praktykującej już czarownicy. Ponieważ bardzo często w tej grupie były siostry czy córki znanych czarownic toteż, gdy odbywał się proces jednej z nich brano na tortury, niejako profilaktycznie również jej siostry i córki. Z własnej chęci zostawały czarownicami głównie te kobiety, które doznały krzywdy i pragnęły zemścić się czy to na sąsiedzie, czy na nieuczciwym kochanku, lub po prostu miały dosyć biedy. Wzywały one wówczas diabła, który zjawiał się natychmiast gotowy do spełnienia każdego życzenia. Oczywiście w zamian żądał od nich oddania swego losu pod władzę czartowską. Z pokuszenia zostawały sługami szatana te kobiety, do których diabeł sam przybywał, aby je pokusić na swoje współniczki. Czynił to głównie jako urodziwy młodzieniec o czarnych włosach, starający się zdobyć uczucie wybranej niewiasty. I to nie tylko młodej i ładnej, lecz także starszej i brzydkiej.

Uważano powszechnie, że bardzo łatwo ulec władzy szatana mogą kobiety urodzone w poniedziałek, czwartek czy piątek (czwartek i piątek były dniami, kiedy na Łysej Górze zbierały się czarownice, a poniedziałek tak jak i dzisiaj był dniem feralnym). W lepszej sytuacji były te dziewczęta, które urodziły się w środę, sobotę

lub niedzielę. Wierzono, że skutecznie broni dostępu szatanowi noszone imię świętej osoby, przede wszystkim imię świętej Marii, choć w praktyce było wiele procesów czarownic o tym imieniu, palonych później na stosach. Najłatwiej stawały się współniczkami szatana niewiasty noszące imiona Łucja lub Janina (chodzi o to, że w nocy św. Jana – 24 czerwca, lub św. Łucji – 13 grudnia, odbywały się najgłośniejsze sabaty czarownic). Sabaty te miały miejsce na różnych niedostępnych wzniesieniach, czy na odludnych rozstajach dróg. Najsłynniejsze bez wątpienia organizowano na Łysej Górze. Częste zmęczenie czy choroby zwierząt gospodarczych były przypisywane podróży czarownicy na sabat. Te bowiem przybywały tam wierzchem na koniu, czy też krowie lub świni. Były również takie, które używały zamiast wierzchowca zwyczajnej miotły, łopaty, szufli, kija, radła, pługa czy dyszla od wozu. Czasami, posmarowane wywarem z ziół, przelatywały znaczne odległości bez środka lokomocji. Mimo iż wydawałoby się, że czarownica i diabeł to para dobrana, wcale tak nie było. Diabły nie lubiły swoich współniczek, a w zależności od hierarchii panującej w piekle albo pogardzały nimi, albo ukrywały swą nienawiść, wywiązując się z przyjętych obowiązków w miarę sumiennie. Znane są liczne praktyki czynione przez czarownice, jak zamawianie chorób, różnego rodzaju cierpień a nawet powodujące śmierć wybranej osoby. Często do tego rodzaju praktyk używane były przedmioty poświęcone, ukradzione z kościoła. W celu wykrycia czarownicy, która nie ujawniała się wymyślili ludzie różne pomocne sposoby. Na przykład podczas procesji wielkanocnej obchodzono kościół trzy razy. Gdy po drugim okrążeniu któraś z kobiet nie wytrzymała i opuszczała procesję znaczyło to, że jest współniczką szatana. O osobach z poczerwienionymi lub zaropiałymi oczami twierdzono, że odprawiają praktyki czartowskie.

Główne kierunki działalności czarownic to: odbieranie części płodów rolnych, ściąganie nieurodzaju, wszelkich plag, sprowadzanie chorób na swoje ofiary, odbieranie powodzenia w miłości, powodowanie bezpłodności i impotencji. Oczywiście były też sposoby obrony przed tą szkodliwą działalnością. I tak, aby ratować bydło, należało skropić je lub obmyć wodą święconą, rosą, specjalnymi olejkami, wodą źródlaną, deszczówką, odmawiając przy tym magiczne słowa. Można też było okadzać bydło specjalnym ziołem, starymi szmatami czy wysuszonym nawozem. Aby uchronić żrebaka przed urokiem konieczne było zawiązanie mu na szyi lub w grzywie czerwonej wstążeczki. W celu odczarowania konia wyjmowano z jego oka tak zwany proch. Przed suszą, ulewami i innymi niekorzystnymi warunkami atmosferycznymi chroniło odmówienie modlitwy. Przy ochronie stada owiec pomocny był sznur wisielca, przed którym przeganiano stado lub wykopane z cmentarza zwłoki i zakopane ponownie w owczarni. Znanych jest dużo rozpraw sądowych z XIX wieku, na których sadzono owczarzy o profanację zwłok.

Były też czarownice inne niż wyżej opisywane. Nazywano je mądrymi lub białymi. Chodzi tu o popularne znachorki czy wróżbitki działające nie z namowy szatana, lecz z łaski Boga. Nie czyniły więc one nikomu krzywdy, a zajmowały się leczeniem, wróżbiarstwem i innymi czynkami dla dobra okolicznych mieszkańców. Tak też można różnie mówić o czarownicach: i dobrze i źle, ale nie można pominąć

przy tym fakcie jak tragicznie kończyło się takie posądzenie dla zupełnie niewinnej kobiety. Jako ciekawostkę należy nadmienić, że istnieją protokoły z procesów o czary dotyczące mężczyzn. Jednak czarowników było tak mało, że praktycznie nie wspomina się o nich.

## Wycieczka po czeskiej stronie Gór Izerskich

Wydawało się iż nocna ulewa zniechęci do niedzielnej wycieczki. Okazało się jednak, że atrakcje jakie zaplanowano przeważały. W dniu 10 lipca 2011 roku, na kolejną wycieczkę Rajdu na Raty, organizowanego od ponad czterdziestu lat przez Oddział PTTK "Sudety Zachodnie" w Jeleniej Górze, przybyło trzydzieści pięć osób. Tym razem, z prowadzącym Wiktorem Gumprechtem, powędrowaliśmy w Góry Izerskie. Odwiedziliśmy naszych sąsiadów Czechów. Wkrótce wyszło słońce i było bardzo przyjemnie. Ruszyliśmy szlakiem zielonym z miejscowości Jablonecké Paseky. Droga pięła się wciąż pod górę, jednak w miarę podchodzenia otwierały się przed nami coraz to piękniejsze widoki. Szybko dotarliśmy do Nowej Wsi nad Nysą, założonej przez protestantów z Miśni w XVI wieku. Niestety górskie tereny nie zapewniały dobrych dochodów dlatego mieszkańcy w poszukiwaniu lepszych zysków zaczęli wytwarzać szkło. Pierwszą szlifiernię uruchomiono tu już w 1800 roku. Mijamy tu wiele starych domów. Teren wokół nich jest zadbane ale zdarzają się także obejścia wyglądające jak opuszczone.

Nagle wyłania się na wzniesieniu wieża. Mimo iż szliśmy właśnie do niej zaskoczył nas jej widok. Ani razu wcześniej nie było jej widać podczas podejścia. Obiekt ten zbudowano dla sieci telefonii komórkowej, jednak uwzględniono przy tym potrzeby przybywających tu turystów. Usytuowana na Górze Nowowiejskiej (676 m n.p.m.) wieża posiada taras widokowy, z którego rozpościera się widok na Liberec i górujący nad nim Jested. Aby wdrapać się na platformę trzeba pokonać 127 stopni, początkowo umieszczonych wewnątrz budowli, następnie na zewnątrz. Mimo iż to tylko 24 metry to nie tylko czuć jak wieża się kiwa ale także widać. Wieżę oddano do użytku w 2007 roku i nadano jej nazwę "Nisanka" od znajdującego się w pobliżu źródła Nysy. Była to jedna z propozycji zgłoszonych w konkursie, a wymyśliła ją pani Michaela Berkova ze Smržovki.

Wkrótce docieramy do Trzech Lip z Bożymi Mękami. Jest to miejsce, w którym pomiędzy olbrzymimi lipami ustawiono w 1810 roku metalowy krzyż. Na znajdującym się w pobliżu budynku widać płycinę z wizerunkiem tych drzew. Mają one pnie pomalowane na brązowo a liście na zielono. Kilkadziesiąt metrów dalej widzimy jakiś strumyczek z ułożoną z desek ścieżką prowadzącą wzdłuż niego. Jakież jest nasze zdziwienie gdy, po kilkuset metrach, okazuje się iż ten ledwo widoczny ciek wodny to właśnie Nysa Łużycka. Dotarliśmy do jej źródła. Zostało one upamiętnione początkowo zwykłym napisem na skale. W roku 1930, dzięki staraniom Wspólnoty na rzecz Upiększania Nowej Wsi nad Nysą, odsłonięto nowy pomnik. W roku 1980 zamontowano na nim tablicę. Niestety była ona z brązu i szybko zniknęła. Dlatego

w 2010 roku zamontowano nową, z napisem w trzech językach, a obok niej umieszczono poprzednie daty i metalową pieczęć z herbem, służącą turystom za pieczętkę.



Podejście na szczyt Czarnej Studnicy zmusza nas do wysiłku. Niektórzy nieźle się spocili. Jednak już pierwsze spojrzenie mówi nam, że warto było. Widzimy wyryte na kamieniu cyfry podające datę 1885 i wysokość 873 m npm. Dotyczy ona skał z wykutymi stopniami, na których wzniesiono pierwszą platformę widokową. Natomiast na otrzymanej pieczętce wysokość określono na 869 m npm oraz podano datę 1905. Właśnie w tym roku wybudowano tutaj kamienną wieżę widokową wraz ze schroniskiem. Obiekt ten służy turystom do dnia dzisiejszego. Jeśli ktoś nie czuje się na siłach może tutaj wjechać samochodem albo specjalną ciuchcią. Bo to, że warto tutaj przybyć nie ulega wątpliwości. Można tu nie tylko zjeść ale także obejrzeć utworzone Małe Arboretum. Zaś po pokonaniu 84 stopni podziwiać z balkonów rozległe widoki. Co ciekawe, to na prawie każdym widocznym wzniesieniu dojrzymy jakąś wieżę. Po obejrzeniu widoków nie pozostało nam nic innego jak spróbować ciemnego piwa serwowanego w schronisku. Tak pokrzepieni wyruszyliśmy dalej. Droga prowadziła już tylko w dół z czego wszyscy się cieszyli. Zaraz dotarliśmy do Jeleniego Kąta gdzie mogliśmy podziwiać ponad kilometrowej długości tor saneczkowy. Chwilę czekaliśmy bo wyglądało, że saneczkarze będą zaraz startować. Nie byli oni jednak tacy szaleni jak nam się wydawało. Nie ryzykowali jazdy betonową rynną. Wygląda na to iż ćwiczyli tylko technikę startu. Trzeba wiedzieć, że zawodnicy na tym torze często przekraczają szybkość 100 kilometrów na godzinę. Poszliśmy zatem do Muzeum Techniki Obronnej, gdzie zgromadzono sporo sprzętu wojskowego z okresu II wojny światowej. Zarówno muzeum jak i tor saneczkowy leżą na terenie miejscowości Smržovka. Jest ona tak urocza i bogata w różne atrakcje, że aby dokładnie ją zwiedzić trzeba by poświęcić na to cały dzień. My mieliśmy w planie wizytę w pewnej specyficznej restauracji. Do pociągu pozostało nam spo-

ro czasu, więc chcieliśmy go wykorzystać na zjedzenie czegoś pysznego i na obejrzenie prac Petera Urbana, zamieszczonych na ścianach wspomnianego lokalu. Artysta ten jest bardzo znany nie tylko w Czechach. Jego prace ze względu na skandalizujący charakter wzbudzają różne odczucia. Jedni się nimi zachwycają. Drudzy ostro je krytykują. A jeszcze inni nie pozostawiają na ich autorze suchej nitki. Myślę, że każdy kto chciałby wypowiedzieć się na temat takiej sztuki musi sam zobaczyć te prace. Dopiero wtedy będzie mógł odpowiednio ustosunkować się do nich. Uczestnicy naszej wycieczki, wracając pociągiem, żywo dyskutowali o tym co zobaczyli podczas posiłku. Przynajmniej czas im się nie dłużył.

## Samotnie w góry

Każdy wie, bo jest to zgodne z prawdą, że w góry nie należy chodzić samemu. Głównie ze względów bezpieczeństwa. Choć w dzisiejszych czasach, kiedy wszyscy posiadają telefony komórkowe, samotne wyjście w góry nie jest już takie "samotne". W razie potrzeby można bowiem wezwać pomoc czy zawiadomić bliskich gdzie jesteśmy. Niestety w zeszłym wieku nie było takiej możliwości. Dlatego każde wyjście w pojedynkę było ryzykiem. I aby to było dobrze zrozumiane: każde takie wyjście groziło nie tylko iż coś nam się stanie ale groziło, że będzie to już ostatnia wycieczka w naszym życiu. Bo góry to jest żywioł nie do opanowania. I powiem szczerze, nic ale to zupełnie nic, nie jest w stanie nas ochronić przed tym żywiołem. Będąc w górach jesteśmy zdani na to co los nam przyniesie. Oczywiście jeśli jesteśmy dobrze przygotowani oraz posiadamy jakieś doświadczenie i potrafimy zachować zdrowy rozsądek to możemy wyjść cało z wydawałoby się tragicznych sytuacji. To co przed chwilą napisałem jest prawdą i wszyscy pewnie się z tym zgodzą. Jednak ludzie młodzi inaczej widzą świat, a cóż dopiero prostą wycieczkę w górach, w środku Europy. Myślą sobie: przecież tutaj nie można zabłądzić, tutaj nic nam się nie może przytrafić. Do tego są pewni swojej kondycji fizycznej, no i nie posiadają jeszcze odpowiedniego doświadczenia, bo i gdzie je mieli zdobyć. Ja, mimo iż teraz wiem, że nie powinno się tak postępować, w latach swojej młodości wyruszałem w góry sam. Ba niejednokrotnie wyruszałem w nocy, w deszcz, czy wręcz podczas szalejącej śnieżycy. Nie myślałem wówczas o konsekwencjach takiego postępowania. Nie myślałem o tym, że moi bliscy będą się martwić brakiem wiadomości ode mnie. Często bowiem wychodziłem z domu na kilka dni. I przez tych kilka dni nikt nie wiedział co się ze mną dzieje. Dopiero gdy wróciłem było wiadomo, że nic mi się nie stało i wszystko jest w porządku. Teraz sam wiem, że takie postępowanie z mojej strony było co najmniej nieodpowiedzialne, żeby nie powiedzieć głupie, ale wtedy wydawało mi się to normalne. Oczywiście pierwsze załamania pogody były dla mnie zaskoczeniem. Jednak nie zawracałem z obranej trasy. Później przyzwyczajałem się do warunków zimowych. Do coraz większej ilości zalegającego śniegu i coraz większego mrozu. Ponieważ w góry chodziłem bardzo często, nieraz było to nawet trzysta dni w roku, miałem możliwość przyzwyczaić się do bardzo różnych warunków atmosferycznych.





A szybko zmieniająca się pogoda w górach nauczyła mnie odpowiedniego ubierania się oraz zabierania nieraz wydawałoby się niepotrzebnych w górach rzeczy. Wyglądało to komicznie, gdyż wszystko pakowałem do wielkiego plecaka z kominem, który wystawał mi wysoko ponad głowę. Muszę powiedzieć, że waga plecaka niejednokrotnie przekraczała osiemdziesiąt kilogramów. Cóż to jednak było dla młodego, silnego człowieka. Z takim obciążeniem potrafiłem, gdy zachodziła potrzeba, odbyć kilkugodzinny bieg. I nie przeszkadzało mi, że droga jest kamienista czy padający deszcz zmienił ją w rwący i mulisty ciek. Na szczęście robiono wtedy porządne buty do turystyki górskiej. Były one szyte ze skóry, posiadały wkładki filcowe albo z kozucha. Fakt ważyły po kilka kilogramów każdy. Jednak w takim obuwiu można było wejść do strumienia i po przejściu nim kilkuset metrów dalej mieć suche nogi. A przyznam się, często, zwłaszcza w zimę, tak robiłem. Gdy opuszczały mnie siły, po prostu szukałem jakiegoś strumyka, wchodziłem do niego i schodziłem jego korytem w dół. Nasze góry mają takie ułożenie, że nie było obawy by nie dotrzeć do jakiś zabudowań. A często, ze względu na zaleganie wielometrowej warstwy śniegu, takie wędrowanie było jedynym możliwym sposobem w miarę szybkiego dostania się do cywilizacji. Oczywiście na buty trzeba było zakładać odpowiednie getry, tak by woda nie wlała się do środka. Ja miałem szczęście ponieważ znalazłem starszego krawca, który pamiętał jeszcze jak się szyje różne potrzebne w górach odzienie. Uszył mi wiele rzeczy, w tym getry. To właśnie on zaproponował mi uszycie szarawarów, czyli takich spodni za kolana. Jedne zrobił mi jako wiązane, drugie na guziki, trzecie na zameczek. Mówię tutaj oczywiście o zakończeniu nogawek. Okazuje się, że ten przedwojenny patent wcale nie był taki głupi. Pozwalało to w razie ładnej pogody szybko odstąpić nogi by było chłodniej, a w razie deszczu szybko założyć na buty getry mocowane haczykami i zabezpieczyć nogi przed zmoknięciem lub przed zadrapaniami w razie przedzierania się przez gęstwiny. Zimą wystarczyło założyć

pod getry długie skarpety i już było i ciepło i sucho. Jednak należało pamiętać, że do butów zakładało się dwie pary skarpet. Jedne krótkie, drugie długie. Dzisiaj już nikt tego nie stosuje. Mało tego, kiedyś w butach do turystyki górskiej, a zapewniam, że takie obuwie było bardzo trudno zdobyć, jeździło się na nartach. A więc buty te musiały być odpowiednio wytrzymałe. Musiały też mieć możliwość zakładania raków. Pewnie zdziwi się ktoś słysząc o tym, bo po cóż w naszych górach raki. A jednak. Sam często idąc w góry zabierałem je ze sobą. Były bowiem miejsca, w których aby nie zapadać się po pas w śniegu, zakładało się narty, ale aby nie spaść z oblodzonego zbocza w przepaść, zakładało się jeszcze dodatkowo raki. Wyglądało to może komicznie ale było bardzo skuteczne. Zwłaszcza gdy wychodziliśmy w góry w kilka osób a mieliśmy tylko jedną lub dwie pary nart. Robiło się to tak, że na nartach, zarówno przed, jak i za idącym na nich, staowało jeszcze kilka osób. Maksymalnie mogło stanąć dwie osoby z przodu i dwie z tyłu. Jednak gdy wszyscy mieliśmy wielkie plecaki to już mogły to być tylko dwie osoby: jedna z przodu, druga z tyłu. Tak właśnie chodziło się wtedy. Było to bezpieczne i dawało możliwość w miarę szybkiego przemieszczania się. Dzisiaj nie ma już tak dużych opadów śniegu jakie miały miejsce w latach siedemdziesiątych XX wieku. Wtedy gdy szło się w zimę często widać było tylko czubki choinek. Nic więc dziwnego, że gdy ktoś spadł z tych nart to nie były to żarty. Bo nie tylko, że niknął nam z oczu w śniegu, to najczęściej bywało tak, iż trafiał na pustkę pod śniegiem i wpadał do płynącego tam strumyka. Mieliśmy w takich wypadkach wiele kłopotu by wyciągnąć taką osobę z powrotem. Często trzeba było używać lin, tak głęboki był wtedy śnieg. Dodam tylko, że nieraz kilkusetmetrowy odcinek jaki przebywaliśmy na nartach powiedzmy w jedną, dwie godziny, idąc pieszo, bez nart na jego przejście potrzebowaliśmy nawet do trzynastu godzin. Był to dla nas wielki wysiłek. A że bardzo często, właśnie ze względu na czas potrzebny do pokonania zaplanowanego odcinka trasy, nie zdążaliśmy przed zmierzchem, wiele godzin naszego marszu pokonywaliśmy w nocy. Oczywiście śnieg powodował, że było jasno, jednak zdawaliśmy sobie sprawę, że nie możemy przystanąć, gdyż w takich warunkach moglibyśmy tego nie przeżyć. A więc zmęczeni posuwaliśmy się wciąż do przodu nie bacząc na upływ czasu i sił jakie nam pozostały. Koniecznym było dotarcie do chatki by szybko ugotować herbaty, bo tylko dawka gorącego napoju mogła nas postawić na nogi. I nie można w takich razach było zwątpić. Każdy kto by to uczynił zostałby już tam na zawsze. Dlatego nieraz w takich właśnie momentach posuwaliśmy się nawet do rękoczynów. Osobę która chciała zostać na trasie, po bezskutecznych namowach, czasami okładaliśmy jakimś kijem albo kijkami do nart. Był to jedyny skuteczny sposób by zmusić ją do podjęcia dalszego wysiłku. Oczywiście po dotarciu na miejsce żadna z tych osób nie miała pretensji do kolegów używających kija, byli im wdzięczni za pomoc. Wiedzieli, że bez tak stanowczej postawy nic by ich nie uratowało. Czasami tylko żartowali, że można było użyć kija mniej sękatego. Ale to już szczegóły.

Czasami samotna wędrówka okazywała się tak trudna iż zapadała nam w pamięci. Pamiętam jak umówiliśmy się na sylwestra w "Smogorniaku". Ponieważ musiałem dłużej zostać w pracy, wybrałem się w drogę z dużym opóźnieniem, a

tym samym musiałem iść już sam. Wszyscy poszli z odpowiednim wyprzedzeniem czasowym. Niestety gdy pokonałem już połowę drogi zaczęła się zamieć. Początkowo mi to nie przeszkadzało ale później, gdy wiatr przybrał na sile, zacząłem się obawiać czy wystarczy mi sił by dotrzeć do chatki. Niestety odwrót nie wchodził już w rachubę. Za daleko już zaszedłem. Ze względu na tak trudne warunki szło mi się coraz ciężiej. No i czas płynął coraz szybciej. Wiedziałem, że nie zdążę już przed północą. Ale cóż. Ważne było bym w ogóle dotarł na miejsce. Zatem gdy doszedłem do strumyka płynącego przed chatką ucieszyłem się bardzo. Szybko zsunąłem się w śniegu na dół i zacząłem piąć się w górę na drugi brzeg. Niestety padający śnieg był taki syпки, że wciąż się ześlizgiwałem do strumienia. Związałem zatem narty robiąc z nich drabinkę. Jednak było to za mało. Brakowało jeszcze parę metrów by osiągnąć cel. Przez chwilę pomyślałem, że może jednak warto pomyśleć o odwrocie, ale po chwili okazało się to także nierealne. Ponieważ widziałem momentami palące się światełko w jednym z tej strony okienku, zacząłem drzeć się ile miałem sił. Wichura jednak była głośniejsza. Wiatr gwizdał i wył tak, że na pewno nikt nie mógł mnie usłyszeć. Cóż było robić. Troszeczkę zaczynałem się bać, tym bardziej, że kilka razy wpadłem do strumyka i zaczynało mi się robić zimno. Oczywiście było, że nie przetrzymam nocy w takich warunkach. Na szczęście komuś z obecnych w chatce zachciało się siusiu i ze zwykłego lenistwa nie poszedł do ubikacji postawionej nieco dalej, tylko wyszedł za chatkę, właśnie od strony strumyka. Jeszcze nigdy nie krzyczałem tak głośno jak wtedy. Tak się darłem, że kolega ten usłyszał mnie. Zaskoczony ale zaciekawiony co się dzieje podszedł bliżej i gdy zobaczył w jakiej się znalazłem sytuacji pobiegł z powrotem do chatki. Zapomniał o tym po co tutaj przyszedł. Zaraz wylegli prawie wszyscy by mi pomóc. Jak się okazało nie było to wcale takie proste. Wichura prawie przewracała ich, nie mogli podejść zbyt blisko jaru by nie wpaść do mnie. W końcu powiązali liny, które mieli i z daleka dorzucili je do mnie. Udało mi się chwycić i zostałem wspólnym wysiłkiem wyciągnięty na górę. Tam dostałem szybko gorącej herbaty, przebrałem się w suche ciuchy i owinięty kocami grzałem się przez dłuższą chwilę przy kozie. Nigdy nie myślałem, że ciepło z rozgrzanej kozy może dać tyle przyjemności. Dosłownie czułem jak odtajam, tak byłem już przemarznięty. Po pierwszym okresie przerażenia zaczęliśmy wszyscy żartować sobie z zaistniałej sytuacji, a kolega który mnie zauważył przypomniał sobie w końcu po co on tam szedł. Polecał zatem szybko za chatkę.

Innym razem gdy umówiliśmy się w "Morgance", byliśmy pewni iż wszystko pójdzie jak po maśle. Jak się okazało wcale tak nie było. Mimo iż był maj, a więc i pogoda dobra, wszystko poszło nie tak jak powinno. Najpierw ja spóźniłem się o wiele godzin, ponieważ zdawałem wtedy egzamin maturalny. Do Karpacza dotarłem dopiero ostatnim autobusem, czyli było już zupełnie ciemno. Do tego gdy wysiadałem zaczął niespodziewanie sypać śnieg. Dosłownie w ciągu krótkiego czasu nasypało go tyle, że miałem trudności by kontynuować wędrówkę. Jednak gdy pomyślałem sobie, że wszyscy czekają na mnie zdałem sobie sprawę że muszę iść dalej. Wynikało to z faktu podziału prowiantu. Niektóre rzeczy miałem ja inne oni. Ponieważ podział nastąpił bardzo nierozważnie, wykorzystanie niektórych elemen-

tów ekwipunku stawało się niemożliwe. Bo gdy jedna strona miała maszynki do gotowania to druga niosła paliwo do nich. Zatem brnąłem dalej, tyle tylko, że ze względu na warunki pogodowe jakie nastały zszedłem z drogi i przedzierałem się na przelaj. Najgorzej było gdy dotarłem do granicy kosodrzewiny, zasypanej już śniegiem. Przejście to dało mi się nieźle we znaki. Zatem gdy ujrzałem chatkę byłem szczęśliwy. Nie zwróciłem wtedy uwagi, że nie widać żadnego światła. Gdy wreszcie dotarłem na miejsce okazało się iż nikogo tam nie było. W pierwszej chwili nie wiedziałem co robić. Pomyślałem sobie, że może oni zabłądzili, ale po chwili uświadomiłem sobie, że przecież śnieg zaczął sypać dopiero pod wieczór, oni zaś wyruszyli z samego rana. Niemożliwe zatem by nie zdążyli dotrzeć tu przed załamaniem pogody. Uznałem zatem, że nie ma się co przejmować ich losem, tylko trzeba myśleć co zrobić by samemu nie zamarznąć. Przecież nie miałem ognia, było niesamowicie zimno, no i byłem przemoczony. Zrobiłem przegląd tego co miałem w plecaku i po przebraniu się krążyłem, czyli raz wskakiwałem na stryszek, by po zamknięciu kłapy trochę się zagrzać (o śnie raczej nie było mowy), raz wychodziłem na dwór by podreptać wokół chatki wypatrując czy ktoś nie idzie. Udało mi się wtedy jakoś dotrzeć do rana. Pogoda już się ustabilizowała, mogłem zatem wracać do domu. Tam okazało się iż umówieni ze mną ludzie zmienili zdanie i poszli do innej chatki. Później, gdy zobaczyli co się dzieje, żalowali swojej decyzji ale było już za późno i zbyt niebezpiecznie by próbować dotrzeć do Morganki. Zostali zatem na noc w Smogorniaku, gdzie byli bezpieczni. Wszystko skończyło się wtedy dobrze, ale takie zachowanie jest bardzo niedobre. Raz, że gdy się umawiamy to należy dotrzymywać danego słowa; dwa, gdy czyni się to w górach to, jak się okazuje może to zagrozić życiu. Bo co by tu nie mówić, gdyby na moim miejscu znalazł się mniej doświadczony turysta, różnie mogłoby się to skończyć.

Musze tutaj powiedzieć, że nieraz samotne wyjścia są niebezpieczne nie tylko w górach. Kiedyś miałem taki dziwny zwyczaj. Pakowałem plecak, szedłem na dworzec PKP i patrzyłem dokąd odjeżdża najbliższy pociąg. Wsiadałem do niego i jechałem, jakby to powiedzieli dawni harcerze, po przygodę. Któregoś razu pojechałem pociągiem gdzieś w okolice Piły. Wysiadłem na jakimś zadupiu. Był środek nocy, gdzieś koło pierwszej godziny. Poza budynkiem stacyjnym nie było tu żadnych zabudowań. Na szczęście było w miarę ciepło. Jednak noc okazała się bezksiężycowa czyli było ciemno jak... No wiecie gdzie. Popatrzyłem na mapę, jest jakiś szlak turystyczny. Zatem ruszam przed siebie. Po chwili, pewnie dla podbudowania mojego nastroju, dochodzę do cmentarza. Niestety moje samopoczucie nie poprawia się. Wchodzę do lasu i po jakiś trzech, czterech godzinach marszu słyszę jakieś wycie. A tu głucho wszędzie, ciemno wszędzie. Mam wrażenie że to wilki. Myślę jednak sobie; głupiś skąd tutaj wilki. Jednak do końca nie jestem tego pewny. Zatem przyspieszam kroku. Niedługo zaczyna się rozwidniać. W sumie, ponieważ w tamtym czasie nie było takich map jakie mamy dzisiaj, nie wiem do końca gdzie jestem. Na szczęście widzę ludzi. To drwale pracujący w lesie. Dzięki nim wiem jak iść dalej. Docieram zatem do miasteczka, w którym jest stacja kolejowa. Wsiadam do pierw-

szego pociągu i wracam do domu. Tak to jest gdy wyrusza się na wycieczkę bez stosownego przygotowania.



Ale zdarzają się także zabawne sytuacje samotnym wędrowcom. By nie przynudzać opowiem o jednej jaka mi się przydarzyła. Postanowiłem pochodzić po Wielkopolskim Parku Narodowym. Pojechałem więc pociągiem. Wysiadłem na małej stacyjce, a że przebiegał tamtędy szlak turystyczny ruszyłem przed siebie. Pogoda nie była zbyt ciekawa. Ponuro i szaro, jakoś tak dziwnie. Ponieważ sezon już się skończył wędrowałem samotnie nie napotykając żadnego innego szaleńca. Dziwnym mi się wydało gdy co chwilę spotykałem tabliczki ostrzegające przed wściekłymi lisami. Maszerowałem sobie tak przez cały dzień, a że z domu wyjechałem nocnym pociągiem poczułem lekkie zmęczenie. Zatem gdy dostrzegłem budynek z pokojami do wynajęcia poprosiłem o nocleg. Pani początkowo zdziwiła się skąd wziął się , o tej porze roku, turysta. Jednak nie odmówiła. Powiedziała tylko, że będę miał trochę zimno zanim grzejnik elektryczny się nagrzeje, bo będę jedynym gościem w budynku. Nie przeszkadzało mi to jednak. W pokoju było o wiele cieplej niż na zewnątrz. Wziąłem więc prysznic, zagotowałem sobie herbatkę, coś przekąsiłem i położyłem się spać. Gdy się obudziłem zobaczyłem, że za oknem już świta. Zerwałem się na równe nogi. Miałem bowiem do przejścia sporo kilometrów a wiadomo, że pociąg nie poczeka. Spakowałem się, wszystko powyłączałem i poszedłem do właścicielki by oddać klucze. Ta szeroko otworzyła oczy była tak zdziwiona. Już pan odpoczął? Zapytała. Bo wie pan, zaraz zrobi się ciemno, a po nocy wędrować to chyba nie najlepszy pomysł. Po chwili zaczęła się śmiać. Musiałem mieć głupią minę. Okazało się iż szybko zasnąłem, szybko odpocząłem i obudziłem się już po chwili. A to szare za oknem co wziąłem za świt było zmięciem. Nie pozostało mi nic innego jak przeprosić za zamieszanie i ponownie udać się na spoczynek. Tym razem obudziłem się o świcie i nie stworzyłem głupiej sytuacji.



Tak to właśnie bywa gdy na wycieczkę wybieramy się w pojedynkę. Choć czasami niewiele lepiej jest gdy ruszamy we dwoje. Ponieważ do tej pory przedstawiałem trochę dziwne sytuacje, na koniec mojego wywodu o samotniczym wędrowaniu, opowiem co mi się przydarzyło wiele lat temu w Górach Izerskich. Wybrałem się na nocną wycieczkę tak by do rana dotrzeć do chatki Walońskiej. Gdy weszliśmy do lasu było już zupełnie ciemno. Na szczęście po chwili pojawił się księżyc. Baterie w latarce nie wystarczyły nam na zbyt długo. Dlatego byliśmy zadowoleni z tego faktu. Poza tym czyż nie jest to romantyczne spacerować nocą, pod rozgwieżdżonym niebem, z ładną dziewczyną. Nie spieszyliśmy się za bardzo, gdyż była to naprawdę bardzo ciepła noc. Na niebie świeciły tysiące gwiazd, tak że często siadaliśmy sobie by na nie popatrzeć. Poza tym trzeba było dobrze uważać na korzenie wystające przy ścieżce by się nie potknąć. Wszystko nam się wtedy podobało. Zaczynaliśmy przecież dopiero życie. W pewnym momencie, gdy księżyc schował się i nastąpiła chwila ciemności, zobaczyłem jak idąca przede mną dziewczyna jakby nagle znikła. Po chwili usłyszałem cichy plusk. Niewiele zastanawiając się wyciągnąłem rękę do przodu i zacisnąłem dłoń. Poczułem, że coś złapałem, pociągnąłem więc w swoją stronę. Wtedy księżyc ponownie oświetlił teren i naprawdę przestraszyłem się. Okazało się, że idąca przede mną dziewczyna zniknęła gdyż wpadła do dołu po wybranej borowinie. Kto wie czy by w nim nie została na zawsze gdyby nie przecucie. Musiałem chwycić jej kurtkę w ostatniej chwili, wtedy właśnie usłyszałem ten plusk. Oboje byliśmy w szoku. Na szczęście wszystko skończyło się szczęśliwie. A Ania, bo tak miała na imię, została moją żoną i od tej pory chodziliśmy po górach razem. I jesteśmy razem do dnia dzisiejszego.



Wydawca: Komisja Krajoznawcza Oddział „Sudety Zachodnie”  
 Jelenia Góra – Lipiec 2011  
 Adres do korespondencji: [tecza20@wp.pl](mailto:tecza20@wp.pl)  
 Tekst, redakcja, zdjęcia: Krzysztof Tęcza  
 Pomoc techniczna: Andrzej Mateusiak